

– Są w porządku, jeśli spojrzysz na nich z perspektywy Matisse’a.

Kobiety były zbyt drobnomieszczańskie, by przyjąć zaproszenie. Pozostali goście spotkali się w ogrodzie Knightów i pili cinzano. Madame Paulette wygrywała *Pas Sur la Bouche* na maleńkim tekowym pianinie. Francuzi elokwentnie i niezrozumiale opowiadali Davidowi i Alabamie o dziełach Fernanda Légera i René Crevela*. Pochylali się, gdy mówili, i byli spięci i sztywni, bo zdawali sobie sprawę, jak dziwna jest ich obecność w tym miejscu – wszyscy oprócz Jacques’a. On dramatyzował swoje nieszczęsne zauroczenie żoną Davida.

– Czy nie boi się pan podczas figur w powietrzu? – spytała Alabama.

– Boję się zawsze, gdy wsiadam do samolotu. Dlatego to lubię – odparł wyzywająco.

Jeśli siostry pracujące w kuchni nie radziły sobie w tygodniu, na specjalne okazje wystrzeliwały jak lipcowe fajerwerki. Krwistoczerwone homary wiły się w pułapkach z selera, a z pół majonezu wyrastały sałatki świeże jak kartki wielkanocne. Stoły ozdobiono bluszczem – nie brakowało nawet lodu, jak odkryła Alabama, przechowywanego na betonowej podłodze w piwnicy. Jedynymi kobietami były madame Paulette i Alabama. Sam Paulette trzymał się z boku i obserwował żonę. Wydawało mu się chyba, że kolacja z Amerykanami jest równie ryzykowna jak udział w balu w paryskiej akademii sztuki.

– *Ah, oui* – uśmiechała się Madame – *mais oui, certainement oui, et puis o-u-i*. Ach, tak. Ależ tak, zdecydowanie tak i jeszcze t-a-k. Brzmiało to jak refren piosenki Mistinguetta.

– Ale w Czarnogórze, słyszała pani o Czarnogórze, prawda? – spytał Korsykańczyk. – Tam ws z y s c y mężczyźni noszą gorsety. Ktoś uderzył Bellandau w żebra. Niepocieszony Jacques nie odrywał oczu od Alabamy.

– We francuskiej marynarce – oświadczył – komandor cieszy się i jest dumny, gdy może zatonać wraz ze swoim okrętem. J a jestem oficerem marynarki francuskiej!

Przyjęcie wznosiło się na potoku francuskich fraz zupełnie niezrozumiałych dla Alabamy.

Odpłynęła myślami gdzie indziej.

– Proszę pozwolić mi zaoferować sobie suknię dożów – powiedziała, zanurzając palce w dżemie porzeczkowym. – Albo może łyżkę Rembrandta?

Siedzieli na balkonie w wieczornej bryzie i rozmawiali o Ameryce, Indochinach i Francji przy wtórze pisków i jęków nocnych ptaków w ciemnościach. Niewesoły księżyc wydawał się zmęczony nadużywaniem go tego lata w przesyconym solą powietrzu, a cienie kładły się czarne i pełne znaczeń. Na balkon wspiął się kot. Panował nieznośny upał. René i Bobbie poszli po amoniak, żeby odgonić komary, Bellandau zasnął, a Paulette wrócił z żoną do domu, ostrożnie obchodząc się ze swoją francuskością. Lód roztopił się na podłodze spiżarni, smażyli jajka na poczerniałych patelniach w kuchni. Alabama, David i Jacques udali się o

miedzianym świetle do Agay, wyjeżdżając naprzeciw chłodnemu złocistemu porankowi, prosto we wzory z kremowego słońca na piniach i jasne zapachy nocnych kwiatów zamykających kielichy.

– To są jaskinie neandertalczyków – powiedział David i wskazał purpurowe wnęki na wzgórzach.

– Nie – zaprzeczył Jacques. – To w Grenoble znaleźli pozostałości.

Jacques siedział za kierownicą renault. Prowadził go jak samolot, szybko i zgrzytliwie, i z napięciem, które rozsiewało echa świtu niczym stada wędrujących ptaków.

– Gdyby to był mój samochód, wjechałbym do oceanu – powiedział.

Pędzili wśród zamazanych krajobrazów Prowansji na plażę leniwie snującą się drogą, która marszczyła wzgórza jak pościel. „Naprawa samochodu kosztowałaby co najmniej pięćset franków” – pomyślał David, gdy zostawił Alabamę i Jacques’a w pawilonie, bo chcieli popływać. David wrócił do domu pracować, aż zmieni się światło – twierdził, że w południowym świetle jest w stanie malować tylko pejzaże. Przed lunchem przyszedł na plażę, by dołączyć do Alabamy na krótką kąpiel. Znalazł ją siedzącą z Jacques’em jak para... „Cóż, para czegoś” – powiedział do siebie z niesmakiem. Byli mokrzy i gładcy jak dwa koty, które lizały się wzajemnie. David był rozgrzany od spaceru. Słońce piekło jego spocone czoło jak kołnierz z pokrzyw.

– Wejdiesz jeszcze raz ze mną do wody? – Musiał coś powiedzieć.

– Och, Davidzie, dzisiejszy poranek jest bardzo chłodny. Niedługo zacznie wiać! – wykrzyknęła Alabama, jakby zmuszona znosić dziecko, które wtrąciło się w nieodpowiednim momencie. David poszedł pływać sam i wpatrywał się w dwie postaci błyszczące w słońcu obok siebie.

– Są najbardziej aroganckimi osobami, jakie znam – rzucił do siebie ze złością.

Woda zrobiła się chłodna od wiatru. Ukośne promienie słońca pocięły morze na srebrne plastry i serwowały je na opuszczonej plaży. Gdy David poszedł się przebrać, zauważył, że Jacques pochylił się i szeptał coś do Alabamy w pierwszych powiewach mistralu. Nie słyszał, o czym rozmawiali.

– Przyjdziesz?

– Tak... Nie wiem. Tak – odparła.

Gdy David wyszedł z przebieralni, zawiewający piasek kłuł go w oczy. Po twarzy Alabamy płynęły łzy, aż głęboka opalenizna błyszczała żółto na jej kościach policzkowych. Próbowala zwalić to na wiatr.

– Jesteś chora, Alabamo, szalona. Jeśli spotkasz się jeszcze raz z tym mężczyzną, zostawię cię tu i wrócę sam do Ameryki.

– Nie możesz tego zrobić.

– Przekonasz się! – zawołał ostrzegawczo.

Leżała na piasku wśród smagającego wiatru, nieszczęśliwa.

– Idę. Może cię odwiedzić do domu swoim samolotem. – David się oddalił. Usłyszała, jak renault odjeżdża. Woda błyszczała niczym metalowy reflektor pod zimnymi białymi chmurami.

Nadszedł Jacques. Przyniósł porto.

– Poszedłem zamówić ci taksówkę – poinformował. – Jeśli chcesz, nie będę więcej tu przychodził.

– Jeśli nie zjawię się pojutrze w twoim mieszkaniu, gdy on pojedzie do Nicei, to już tu nie wracaj.

– Tak. – Czekał, by ją obsłużyć. – Co powiesz mężowi?

– Będę musiała mu powiedzieć.

– To niemądre – rzucił Jacques zaniepokojony. – Musimy dbać o swój dobrobyt...

Popołudnie było surowe i niebieskie. Wiatr rozwiewał zimne kłęby kurzu po mieszkaniu. Na zewnątrz nie dało się usłyszeć własnego głosu.

– Nie pójdziemy na plażę po lunchu, naniu. Jest za zimno, żeby pływać.

– Ale proszę pani, Bonnie jest tak zdenerwowana wiatrem, że myślę, iż powinniśmy pójść, jeśli pani pozwoli. Nie musimy się kąpać. To wiele da, rozumie pani, pan Knight obiecał nas zawieźć. Na plaży nie było absolutnie nikogo. Krystaliczne powietrze wysuszyło jej wargi. Alabama leżała i się opalała, ale wiatr rozwiewał ciepło słońca, zanim zdążyło do niej dotrzeć. Zrobiło się nieprzyjaźnie. Z baru wyszli René i Bobby.

– Dzień dobry – powiedział krótko David.

Usiedli, jakby byli w posiadaniu jakiegoś sekretu dotyczącego rodziny Knightów.

– Zauważyli państwo flagę? – spytał René.

Alabama spojrzała w stronę lotniska. Płachta materiału powiewała sztywno w połowie masztu nad kubistycznymi metalowymi dachami błyszczącymi w bladym świetle.

– Ktoś zginął – ciągnął René. – Jeden z żołnierzy mówi, że to Jacques. Latał przy tym wietrze.

Świat Alabamy nagle stał się bardzo cichy, zupełnie jakby się zatrzymał, jakby nadciągała nieunikniona kolizja ciał niebieskich. Wstała z roztargnieniem.

– Muszę już iść – oznajmiła półgłosem. W żołądku miała zimną mdłą kulę. David poszedł za nią do samochodu.

Ze złością zmienił bieg. Nie dało się jechać szybciej.

– Możemy wejść? – spytał strażnika.

– Nie, proszę pana.

– Zdarzył się wypadek. Może pan powiedzieć, kto zginął?

– To wbrew przepisom.

Na oślepiającym białym pasie piasku przed murem aleja oleandrów ugięła się od wiatru.

– Chcemy się dowiedzieć, czy chodzi o porucznika Chevre-Feuille.

Mężczyzna przyjrzał się zbolącej twarzy Alabamy.

– To da się sprawdzić, proszę pana – stwierdził w końcu.

Czekali w nieskończoność w złośliwych podmuchach wiatru. Strażnik wrócił. Za nim kroczył odważny i pewny siebie Jacques. Zbliżył się do samochodu, częściowo utkany ze słońca, częściowo z francuskiego lotnictwa, a częściowo z biało-niebieskiego kołnierza plaży, częściowo z Prowansji i opalonych ludzi żyjących w sztywnej dyscyplinie potrzeb, a częściowo z presji samego życia.

– *Bonjour* – powiedział. Wziął ją mocno za rękę, jakby opatrywał ranę. Alabama płakała.

– Musieliśmy się dowiedzieć – powiedział David sztywno, zapalając silnik. – Ale moja żona płacze nade mną.

Nagle stracił panowanie nad sobą.

– Do jasnej cholery! – krzyknął. – Czy możemy po prostu się pobić?

Jacques mówił spokojnie prosto w twarz Alabamy.

– Nie mogę się z nim bić – tłumaczył łagodnie. – Jestem dużo silniejszy.

Ręce, którymi trzymał się boku auta, przypominały żelazne rękawice.

Alabama próbowała na niego spojrzeć. Łzy w oczach zamazywały obraz mężczyzny. Złota twarz i odcinająca się od niej biel munduru oraz złocisty blask jego ciała rozmazywały się i mieszały.

– Ty też byś nie mógł! – krzyknęła dziko. – Ty też nie mógłbyś go pobić!

Renault ruszył gwałtownie pod wiatr. David ledwo uchronił go przed stłuczką z płotem przed barem Jeana. Alabama sięgnęła po hamulec ręczny.

– Idiotko! – Mężczyzna odepchnął ją ze złością. – Trzymaj się z daleka od hamulców!

– Przepraszam, że nie pozwoliłam mu zbić cię do nieprzytomności! – wrzasnęła z wściekłością.

– Gdybym chciał, potrafiłbym go zabić – powiedział David pogardliwie.

- Czy stało się coś złego, proszę pani?
- Tylko ktoś zginął. Sama nie wiem, jak oni znoszą takie życie.